Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Zlp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Poniedziałek 13 Siérpnia   N^er 30.   1838 Roku.

NIEBOSZCZYK HOFFMAN.

Z DZIEŁ J. KRASZEWSKIEGO.

Nieboszczyk Hoffman za rządu pruskiego był Konsyliarzem w Warszawie, — ale wówczas nikt się nie starał o jego znajomość — nikt go nie znał — jego, który w lat kilkanaście miał poruszyć wszystkich belletrystów, romanso-pisarzy, poetów prawie całéj Europy, jedném skinieniem swojego fantastycznego pióra. Talent jego kwaśniał s początku na suchych urzędowych pismach, na czynnościach prozaicznych, które umysł mniéj czynny, mniéj gorącą wyobraźnię, mogły przydusić i ostudzić. Ale on! — on biédne swoje ubogie życie całe walcząc z najprozaiczniéjszémi potrzebami jego, w duszy jak się urodził tak został poetą.

Dziś i u nas przez tłómaczenia znają już powieści Hoffmana (*Szczęście w karty* w Dzien. Wileńs., *Dwór Króla Artura* tamże, *O Hoffmanie i wyjątki* tamże; wszystko tłómaczone s tłómaczenia P. Loeve-Veimars przez Rogalskiego); ale mało kto umié je cenić, mało kto z nich poznał duch pisarza, bo tłómacz wybrał z jego pism najmniéj oryginalne, najmniéj pod względem wynalezienia i imaginacii odznaczające się.

Zeby poznać Hoffmana trzeba go przeczytać całego, przeczytać raz i drugi, i wpoić się w jego najtajniéjsze myśli, trzeba się zniemczyć czytając, aby w nim zasmakować.

Jan Paweł Rychter jest także bardzo narodowym pisarzem niemieckim, ale daleko mniéj popularnym od Hoffmana, trudniéjszym do zrozumienia dla stylu i form nasrożonych różnego rodzaju przenośniami i erudycyą. Jan Paweł znajomy jest Europie ledwie s kilku tłómaczeń; Francuzi mają tylko tłómaczenie jednego romansu dawne, wyjątki z jego dzieł Pani Stael i nowo (1834) tłómaczonego *Titana*. U nas jest *Kmotr Maciéj* jedno z naj-

śmielszych pism pod względem obyczajowym i religijnym, wyjątek z *Siebenkaese* tłómaczony w Tygodniku Petersburgskim, i *Śmierć Anioła*, powieść allegoryczna. Więcéj nie znamy Rychtera, a i ci co są dobrze zjęzykiem niemieckim oswojeni, bardzo trudno niektóre jego wykrzykniki i długie frazesy wyrozumiéć mogą. On więc będzie długo nieznajomy i na słowo tylko Niemców ceniony w Europie — ale Hoffman! — tak dziwny, tak poetyczny, tak jest przytém prosty w układzie i stylu, że już go wszędzie przetłómaczono.

Mają go nawet w Anglii, w Anglii tak dumnéj swoją literaturą, tam przemysł księgarski wlał go do wielkiéj massy ksiąg angielskich, łapczywie rozchwytywanych i zapomnianych tak prędko!

My, jakem mówił, znamy tylko okruszyny Hoffmana, dwie czy trzy powiastki, (bo zapomniałem *Pannę Scuderi*), ale nie znamy *Księżniczki Brambilli*, nie znamy *Marino Falieri*, ani sławnych *Rozmyślań kota Murra*, ani żadnéj s *Powieści nocnych*, ani *Salvatora Rozy*, ani wielu i wielu innych — a jednak nié można powiedziéć żeby nam zbywało na fabrykantach tłómaczeń, którzyby nie tylko po niemiecku, ale po turecku nauczyli się dla tych nieszczęśliwych pieniędzy.

Tymczasem jednak nie umieją zwykle nasi tłómacze innego prócz francuzkiego języka, a wcale się nie wahają przetłómaczywszy s francuzkiego kłaść na czele, że przeleli z oryginału, chociaż możnaby im piérwszą kartą dowiéść, że nie umieją języka, s którego niby to tłómaczyli. U nas takie są prawie wszystkie tłómaczenia, czy to klassyków dawnych czy nowych pism jakich, — wyjąć jednak należy s téj liczby Błotnickiego, Sieńkiewicza i kilku innych sumienniéjszych a mniéj interesowanych.

Daj Boże, żeby i nieboszczyk Hoffman na jednego s takich trafił, któryby go tłómaczył wprawnie, nie gwałcąc języka i rozumiejąc go dobrze w oryginale — mogliby wówczas wszyscy poznać rozmaitość talentu Hoffmana, żywość jego kolorytu, dziwaczność jego myśli, i przy tém wszystkiém co składa poetę, dosyć ducha obserwacii, dość trafne malowanie charakterów pospolitych, a nadewszystko nieocenioną mięszaninę fantazii i

prawdy, któréj dotąd w tym samym stopniu nikt naśladować nie umiał. Inne powieści fantastyczne są zawsze albo za mało, albo nadto wyłącznie fantastyczne, u niego w samą miarę. W każdéj z nich prawie można oddzielić część rzeczywistą, od téj, która jest tylko w pewnym sposobie rzeczywistością inaczéj widzianą i opisaną. W Księżniczce Brambilla, w bajce o salamandrach (1) każdy to widzi, każdy pozna, że Hoffman chciał tylko w pół-oszalałych dziką wyobraźnią ludzi malować, i mięszał ich marzenia, ich myśli, ich nadzieje, s tém co się rzeczywiście działo.

Toż samo i w innych powieściach spostrzegać się daje. Zastanowiwszy się nad niémi i nad myślami, które się roją w głowach tylu młodych ludzi, marzących o tajemniczym świecie, zarzuty przesady Walter-Scotta wydają się bardzo a bardzo za surowe.

Niech każdy zda sobie sprawę ze swoich dumań wieczornych i snów nocnych, wieleżby to z nich powieści było, gdy je umiał napisać! Ale łatwiéj daleko, napisać mierną, regularną, bladą, nic nie dziwną i ani trochę smaczną powiastkę, niż co fantastycznego; bo trzymając się krok w krok dawnych reguł i oklepanych wypadków romansowych, książka napełni się jakąś tam siekanką patetyczności i intrygi, i pójdzie w świat tak dobrze i tak cicho jakby co najlepszego — ale w fantazii! aha! trzeba być oryginalnym i miéć smak przytém, trzeba miéć talent, trzeba pisać z zapałem, z natchnienia! — To się nie każdemu udaje, a z małéj liczby próbujących, u nas nikt, ale to nikt, nie tylko fantastycznie jak nieboszczyk Hoffman, ale w jakimkolwiek innym rodzaju oryginalnie nic nie napisał. — A tyle mamy książek!!

Proszę przewrócić cały katalog Bętkowskiego i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świéże katalogi — i proszę s tego mnóstwa książek wszelkiego rodzaju, choćby jedną pokazać, któraby miała wartość rzeczywistą, to jest europejską, któraby w jakiéjkolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i imaginacyi nadała ruch myślom i wpływała na epokę? Prócz oryginalnego jenijusza Koperni-

(1) Garnek złoty.

ka — któż więcéj stanie? — Może jeden (2) — może żaden.

Nie płakalibyśmy długo, gdyby od pożaru Aleksandryjskiéj bibliotéki i nasze się zajęły — stracilibyśmy wiele rzeczy mających wartość pamiątek — a mało ważnych prawdziwie. Nie zaprzeczam ja wielkiego talentu wielu pisarzom, ale prawie wszystkim braknie oczywiście na smaku, na oryginalności, na śmiałości i zapale — a dzisiejszym na oczytaniu jeszcze.

Snycérz, malarz, stara się oglądać obrazy, posągi wszystkich mistrzów, każdéj szkoły; pisarz zaś nié miałżeby szukać natchnienia i smaku w jak największéj liczbie wzorów? Nie żeby je naśladować! Broń Boże! naśladowanie nas zabija! Villemain powiedział nawet, że nie trzeba naśladować nikogo, ale dla obznajomienia się z mechanizmem, dla nabrania siły, któréj naszym pisarzom (jakkolwiek ich jest mało), wszystkim braknie.

Nieboszczyk Hoffman miał tyle wrodzononego zapału i tak możną imaginacyę, że jéj od nikogo pożyczać nie potrzebował — smak niemiecki dopomógł mu wprawdzie, ale i sam przez się wiele zrobił, bo fantastyczność ledwie znajomą, ledwie dotkniętą, wykształcił i daleko daléj niż przedtém chodziła rozciągnął i wyłącznie jéj używał.

Teraz naśladują go! — ale czémże są naśladowania, czém są naśladowcy? gdyby nié mieli Hoffmana pastwiliby się nad kim innym — wszak naśladowali Walter-Scotta, wszak naśladują wszystko, co tylko ma za sobą pochwały mody i smaku — biédni naśladowcy, pasożyci jak jemioła, goszczą się na najmocniéjszych i najwyższych drzewach.

Spójrzmy na wszystkie szkoły pisania — powstaje wielki jenijusz — rodzi myśli, formy, smak — wszystko! za nim do otwartego źródła cisną się drobne karzełki, aż póki źródła nie wypiją do dna, do mętów. A potém nowy Mojżesz czarodziejską rószczką wyprowadza ze skały czyste wody — i ci co w skale tylko skałę widzieli, piją, piją, robią s tego źródła studnię, robią jeziorko, robią rzeczółkę — na niéj stawiają swoje młyny i tartaki — aż póki s czystego źródła nie zrobią kałuży.

(2) Kiedy mówię jeden, niechże sobie jaki waryat nie wyobraża, że należę do wielkiéj egoistów szkoły! Ja pamiętam co Pascal napisał.

I tak w każdéj szkole przeżyje tylko piérwszy jéj prawodawca; ten zostanie na długo, a naśladowcy jak przyszli tak znikną. Czyż Wilibald Alexis pójdzie na równi z Walter-Scottem — czy Pan Janin dożyje śmierci Pana Hugo? — czy pan Hugo zagasi Shakspeara?? Zobaczemy — zobaczemy!

I Hoffmann może się spodziéwać, że będzie jednym s tych nieśmiertelnych o których jeszcze lat ze sto będą pisać i mówić — lecz ci co pisali Fantazye, fantastyczność, fantasmagorye — czy będą jak on szczęśliwy? Wątpię. Zobaczemy — zobaczycie!

GALEOTA
SZEŚĆ SIÓSTR.
PRAWDZIWE ZDARZENIE OPOWIADANE PRZEZ P. D'ARLINCOURT.

Nadeszła noc milcząca, niebo było pogodne, morze spokojne; galeota *Sześć sióstr*, płynąc z Sechelles (Indyj wschodnich) stérowała ku Isle de France s pośpiechem. Dwadzieścia i ośm osób znajdowało się na tym statku. Wszystko zapowiadało pomyślną żeglugę: czyste i spokojne było powietrze i melodyjnie łączył się śpiéw majtków z łagodnym szumem fal. Swobodnie siedział kapitan Hadoul przy pani Malfit, należącéj do podróżnych, rosprawiając jéj o swojéj ojczyźnie, okwitéj w dziwy.

Nagle dał się słyszéć o kilka kroków od obojga krzyk przeraźliwy. Jasny płomień buchnął do góry. Niewiadomym sposobem wszczął się ogień i w krótkim czasie pożar szérzyć się zaczął. Użyto wszelkich sposobów, by utłumić ten straszny żywioł; nadaremne usiłowanie! Zerwał się wiatr gwałtowny, czarne chmury zasłoniły widokrąg, a wkrótce kłęby dymu i płomieni ogarnęły całą galeotę. Statek pogrążył się i zatonął w głąb morza.

Działo się to w miesiącu kwietniu roku 1819, w owych burzliwych dniach wiosennych. Mała łódka, którą ocalono śród tego powszechnego zburzenia, była jedynym środkiem ratunku dla nieszczęśliwych; wszyscy ludzie okrętu *Sześć sióstr* rzucili się do téj łódki w śmiertelnéj trwodze. Nowa rozpacz! Łódka była za szczupłą, by w niéj tak wiele ludzi zmieścić się mogło i tak przepełnioną, iż ani stérnik ani majtkowie stérować nią nié mogli; byli więc narażeni na niebespieczeństwo zatonienia każdéj

chwili za najmniéjszém powstaniem burzy. Wszelki ratunek zdawał się być daremny, bo już zaczęły szumiéć fale, a pośród chmur huczyć pioruny. Kapitan naradzał się z swymi ludźmi względem środków, do jakich przynagla potrzeba. Dla powszechnéj zbawy wypadało poświęcić kilka ofiar; śmiercią kilku osób s towarzystwa należało umniéjszyć ciężar łodzi. Potrzeba było dwóch, a może i więcéj rzucić w morze! Na kogóż miało paść to przeznaczenie? Pani Malfit miała przy sobie do usługi dwóch Murzynów, którzy z rozczulającą tkliwością mieli staranie o swéj pani, pielęgnującéj przy piersiach mamki swoje dziécię. Kapitan i majtkowie spojrzeli w równym czasie na biédnych Murzynów i tych obrali na ofiarę. Ale jakimże sposobem rzucić s pokładu tych wychowańców Senegalu, którzy silną i atletyczną budową ciała stawiać będą straszny opór mordercom? Na wszelki wypadek będą oni walczyć o swoje życie, a walka w tak ciasnym i skołatanym statku, który się za najmniéjszém poruszeniem wywrócić może, pogrąży wszystkich razem w przepaści. Burza srożyła się coraz gwałtowniéj, nie było i chwili do stracenia. Zrobiono nowy wybór; Hadoul zasłonił sobie twarz tocząc straszną walkę z swém sercem.

Postanowiono panią Malfit, jéj dziécię, i mamkę rzucić w morze. Jeden z Murzynów podsłyszał ten straszny wyrok, nieznacznie przybliżył się do swego ziomka towarzysza i przemówiwszy do niego s cicha słów kilka, obrócił się do pani Malfit i rzekł: »Mój towarzysz i ja zrobimy miejsce. Pani zostaniesz przy życiu i powrócisz do swojéj kochanéj ojczyzny.» Poczém obróciwszy się do kapitana, rzekł do niego głosem uroczystym: »Kapitanie, przysięgniéj nam, że uratujesz naszę panią, a my natychmiast rzucimy się w morze!» — «Przysięgam na Wszechmocnego!» odrzekł kapitan rozrzewniony. — «Nie pozwalam,« odezwała się pani Malfit, która dopiéro w téj chwili zrozumiała o co rzecz idzie; «nie przyjmuję téj szlachetnéj ofiary; Murzyni moi są młodzi i mocni ludzie, mogą być użyteczni dla świata. Lecz ja jestem ciężarem niepotrzebnym w tém miejscu — jam powinna paść ofiarą! Jestem wdową, poświęcę się dla ocalenia drugich... Lecz pozwólcie mi

jednę prośbę; kapitanie, ocal moje dziécię i przyjmiéj je za swoje!»

To rzekłszy nieszczęśliwa matka, wzięła od piersi mamki dziécię i przy świetle błyskawic oddała je kapitanowi. Podróżni, majtkowie i kapitan, wszyscy oświadczyli, iż miéć będą staranie o dziécięciu.

»Biédne niemowlę, pozwól niechaj cię uściskamy!» zawołali w szlachetném uniesieniu Murzyni, tuląc czarne swe twarze do białego, uśmiéchającego się oblicza dziecka. «Bądź zdrów mały paniczu, przyjdzie czas, iż się zobaczymy tam w górze!» To rzekłszy wskazali palcem w niebo i z szybkością rzucili się w spienione morze. — Wkrótce obu przepaść pochłonęła.

Po tym wypadku ciężar łodzi zmniéjszył się dostatecznie; tkliwa ofiara dwóch szlachetnych Murzynów przebłagała zagniéwane niebo. Ustał wiatr, ucichła się burza — i reszta ludzi ocaloną została.

DRESSURA GOŁĘBI W INDYACH.

Na wschodzie kwitnie najbardziéj sztuka dressowania gołębi. Majętni Mahometanie mają zawsze człowieka od gołębi, który się wyłącznie ich ćwiczeniem zajmuje, a te ptaki tak są uważne i posłuszne, iż słuchają komendy jak żołniérze. Tak n. p. wylatuje najprzód ze 20 brunatnych gołębi wolno na powietrze; stado to uważa w locie na każde skinienie lub głos swego komendanta, który ich obrotami dowolnie kieruje. Poczém wypuszczają białe gołębie, które pomięszawszy się s piérwszémi, pląsają wesoło razem po powietrzu, i zdaje się, żeby ich teraz rozłączyć nié można. Lecz skoro ich mistrz dał znak znajomy, natychmiast rozstępują się te dwie grupy podług koloru. Nie dosyć na tém; wypuszczają jeszcze i trzecie stadko niebieskiego koloru, s którémi się znowu razem mięszają. Wszystkie teraz latają razem: wzbijają się pionowo w górę, albo spuszczają na dół. Na hasło swego komendanta rozłączają się na trzy jednobarwne grupy i wykonywają zadziwiające ewolucye. Jedne wzlatują w górę, drugie na dół; jeden oddział rzuca się jak gdyby do boju na drugi, napadnięty otwiéra swoją kolumnę, a atakujący przelatuje przez sam środek. Po tych gonitwach każdy

ptak udaje się do swego gołębnika, czyli raczéj klatki, gdzie obfity żer nagradza podjęte trudy.

OBCE KRAJE.

Tam za morzami daleko
Pola w insze strojne kwiaty,
Złotym piaskiem wody cieką.
I zieleńsze drzew są szaty.
  Lecz mnie miléj w swojéj stronie
  Niż w tamtym kraju zdaleka,
  Oddalony za nią gonię
  I serce do niéj ucieka.
Tam złotych pomarańcz gaje
Tam kwitną wonne jaśminy
I ze skał płyną ruczaje
I różą słane doliny.
  Lecz mnie miléj i t. d.
Mówił wędrowiec przed laty
O tamtém niebie i kraju,
Mówił że tam lud bogaty
I miészkać lubo jak w raju.
  Lecz mnie i t. d.
Mówił o tamtych dziewicach
I wzdychał smutny za niémi,
Rumieniec płynął po licach,
Bez niéj, sam był między swémi.
  Lecz mnie i t. d.
Aż mi żal było biédnego
Który wzdychał za dziewczyną.
Wróć, powiedziałem do niego,
Już tamta twoją krainą.
  Bo tam, gdzie serce ucieka,
  Za którą stroną łzy płyną,
  Tam jest ojczyzna człowieka
  Tamta jest jego krainą!

MYŚLI I UCINKI.

Znajduje się wiele ludzi, którzy dla tego tylko czytają, aby nie potrzebowali myśléć.

Nie powiadaj wszystkiego, co wiész; ale wiédz zawsze, co mówisz.

Serce i rozum w walce podobne są do niezgodnego małżeństwa.

Kto chce doznawać roskoszy przez namiętności, czyni podobnie, jak gdyby się chciał ogrzać szkłem palącém.

Nie sądź ludzi podług tego, co mówią, ale podług tego, co czynią. Zwracaj uwagą na małe rysy, nie na główne czyny, do których każdy w swym paradnym stroju występuje.

Człowiek charakteryzując innych, sam się najlepiéj charakteryzuje.

W życiu ludzkiém są właśnie lata krótkie, wieki ludzkie jeszcze krótsze, a życie najkrótsze; lecz dni są długie, godziny dłuższe, chwile zdają się niekiedy wiecznością.

—ooooooo—

Znaczenie przeszłéj szarady: *Kaprysy.*

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.